



Krzysztof  
Spadło

# Skazaniec

Tom I

Krzysztof Spadł o

**SKAZANIE**

© Copyright by Krzysztof Spadło

Grafika i projekt okładki:  
Hektor Werios & Dariusz Herbowski

ISBN:  
978-83-937489-9-0  
978-83-937489-5-2

Wydawca: Krzysztof Spadło  
[www.krzysztofspadlo.com](http://www.krzysztofspadlo.com)  
[www.skazaniec.com](http://www.skazaniec.com)  
Kontakt: [post@krzysztofspadlo.com](mailto:post@krzysztofspadlo.com)

Korekta: Małgorzata Majewska

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości  
bez zgody wydawcy zabronione  
Wydanie I 2013

*Mojemu bratu Leszkowi*

## PROLOG

Miewałem takie dni w swoim życiu, kiedy czułem, że mój umysł zanurza się w otchłań szaleństwa. Wówczas niewiele brakowało, aby jedna przelotna myśl strąciła mnie w przepaść wyimaginowanego świata. Znałem takich, którzy nie potrafili się temu oprzeć i zupełnie bezsilni pogrążali się w koszmarnych krainach ciemności. Widziałem, jak stają się niewolnikami własnych demonów i fobii. Odchodzili przeważnie na dwa sposoby. Jednych ogarniało kamienne misterium, przepełnione milczącym zapomnieniem, a drugich rozpierała wściekłość. Zresztą co tu dużo mówić, w tak mrocznym miejscu jak więzienie we Wronkach każdy miał prawo sfiksować.

Nigdy nie zapomnę, kiedy we wrześniu 1925 – a swoją drogą, był to parszywy rok – kompletnie odbiło staremu Klockiewiczowi. Wtedy po raz pierwszy w życiu ujrzałem, jak zwykły człowiek zniecka przeistacza się w rozwścieczoną bestię.

Nazywaliśmy go „Kloc”, ale jego ksywa nie była tylko pochodną od nazwiska. Z wyglądu również przypominał prawdziwy kloc. Potężny, zwalisty, ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ten jego charakterystyczny, ciężki, kołyszący chód. Zawsze sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego, a kiedy się garbił, jego dłonie sięgały niemal kolan. Co dziwne, nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widział go podenerwowanego.

Pamiętam, że to była niedziela, jak zawsze słodka i leniwa. Jedyne dzień w tygodniu, kiedy strażnicy, wbrew zarządzeniu naczelnika, nie ponaglali nas przy posiłkach. Poranne słońce, pokonawszy więzienny mur, wpadało do stołówki przez duże, okratowane okna i na kilku stołach rozścieliło swoje złociste obrusy. Sączyliśmy cierpką kawę, siedzieliśmy jak paniska, rozprawialiśmy o bzdu-rach i chyba nikt nie zwrócił uwagi na to, że Kloc wygląda na jeszcze bardziej zmęczonego niż zazwyczaj. Brak apetytu, zmierzwione włosy i tępe spojrzenie były tutaj czymś zupełnie normalnym. Średnio raz w miesiącu każdemu trafiała się kiepska noc. Noc pełna dławiących koszmarów lub gorzkich łez.

Mimo panującego gwaru usłyszałem za plecami czyjś zatroskany głos:

– Kloc, co z tobą? Dobrze się czujesz? Hej, Kloc...

Machinalnie obróciłem głowę. Przeraził mnie widok starczej twarzy Klockiewicza. Podkrążone oczy jakby zapadły się bardziej w głąb czaszki i spoglądały na świat matowym, pustym wzrokiem. Widziałem wyraźnie, jak za drżącymi ustami, które przybrały siny odcień, z bólem zaciska zęby. Mięśnie żuchwy nerwowo pulsowały, unosząc się pod pergaminem pomarszczonych i wyblakłych policzków, a zorane bruzdami czoło połyskiwało szklistymi perełkami potu. W ogóle wydawał się skurczony i zapadnięty. Chyba wcale nie ruszył swojego śniadania, bo nadal leżało na blaszanej tacy tak, jakby przed chwilą odebrał je z okienka wydawki. Nagle jego nozdrza zaczęły nerwowo tikać, a oddech stał się szybki i płytki.

– Kloc, nie wygłupiaj się, do ciężkiej cholery – powiedział ktoś i wtedy się stało.

Ponadsześćdziesięcioletni mężczyzna wydobył z gardła nienaturalny, przerażający ryk, który rozbił się pośród ścian. Zanim oczy wszystkich zebranych powędrowały w jego kierunku, poderwał się na równe nogi i pchnął przed siebie duży, dębowy stół. Towarzystwo z drugiej strony runęło na nas pod ciężarem mebla. Przygniataliśmy się nawzajem, resztki jedzenia rozsypały się po kamiennej posadzce. Zrobiło się zamieszanie. Kątem oka dostrzegłem, że od strony wejścia biegnie kilku strażników. Jeden z więźniów starał się uspokoić rozszalałego Kłoca, ale osiągnął odwrotny skutek i Klockiewicz rzucił się na niego z pięściami. Chryste Panie, przemknęło mi przez myśl, kiedy ujrzałem, jak stary błyskawicznie przeistacza się w rozwścieczonego tura. Jednym ruchem pochwycił w dłonie masywną ławę, uniósł ją ponad głowę niczym Jurand ze Spychowa, zakręcił w powietrzu młynka i cisnął na oślep jak bezużyteczną kłodę. Krzyczał. Boże miłosierny, jak przeraźliwie krzyczał! Młócił tym swoimi wielgachnymi rękami, kopał gdzie popadło i zamieniał wszystko dookoła siebie w pobojobowisko. W ten niedzielny poranek nasza stołówka przypominała pogańską arenę. W kręgu utworzonym przez zaskoczonych skazańców Kloc odstawał swój ostatni szalony taniec.

Kilku klawiszy dzierzących w dłoniach drewniane pałki otoczyło starego, ale chyba nie bardzo wiedzieli, w jaki sposób zabrać się do rzeczy. Pierwszego z nich Kloc powalił jednym uderzeniem w klatkę piersiową.

Momentalnie obrócił się na pięcie i rozkładając szeroko ręce, rzucił się na kolejnych dwóch. Chyba liczył na to, że jeśli przerwie ich kordon, będzie wolny. Wpadł na nich niczym smok i obydwaj mężczyźni runęli na podłogę. Widocznie wtedy jego palce natknęły się na jakąś zbłąkaną łyżkę. Zdążył jeszcze wziąć potężny zamach i zupełnie przypadkowo zatopił przedmiot w prawym oku Mroczkowskiego. Chwilę później stracił przytomność w lawinie drewnianych grzmotów i zamaszystych kopniaków.

Tego dnia po raz ostatni widzieliśmy Kłoca. Co do Mroczkowskiego powiem wam, że nie był złym strażnikiem, i nawet go lubiłem. Miał szczęście, że przeżył, ale do końca swoich dni nosił na prawym oku czarną opaskę.

Wiele razy zastanawiałem się nad tym, co spotkało tego nieszczęsnego starca. Nie wymyśliłem jednak niczego mądrego. Było mnie stać, podobnie jak resztę chłopaków, tylko na wzruszenie ramionami i banalne stwierdzenie, że Kloc po prostu zwariował. Naprawdę czuliśmy jednak coś innego. Czuliśmy ten najgorszy rodzaj strachu, który – jeśli raz zakiełkuje w ludzkiej duszy – pozostaje na zawsze. Waruje na dnie wszelkich lęków i bojaźni, czasami odezwie się gwałtownym szarpnięciem, poganiając serce do oszalałego galopu i czeka... cierpliwie czeka na swoją szansę. Taki strach posiada niezwykłą moc, z jednej strony może być twoim największym wrogiem – bo wiesz, że jeśli cię dopadnie w chwili słabości, to jesteś stracony – z drugiej strony zaś może być twoim jedynym sprzymierzeńcem. Dzięki niemu masz świadomość, kim możesz się stać i dokąd może cię zaprowadzić. To coś



takiego jak choroba i lekarstwo w jednym.

W każdym więzieniu świata obowiązują niepisane prawa, zasady i świętości. Są sprawy, o których się nigdy nie rozmawia, rzeczy, o które nigdy nie należy pytać, i uczucia, których się nigdy nie okazuje. Słabość nie ma miejsca bytu, a strach jest nierozłącznym towarzyszem.

Miewałem takie dni w swoim życiu, kiedy byłem załedwie o krok, żeby skończyć z tym wszystkim. Chciałem jednym ruchem zatrzaskać za sobą drzwi i zdmuchnąć płomień mojego życia. Każdy z nas był tutaj potencjalnym samobójcą. Znałem takich, jadałem z nimi przy jednym stole, chodziliśmy razem po spacerniaku. Czy wiecie, jakie to uczucie, kiedy pewnego ranka dowiadujesz się, że parę godzin temu pośród mroków nocy twój kumpel zadyndał na konopi albo podciął sobie żyły kawałkiem szkła?

Jest tysiąc powodów, by walczyć o przetrwanie, i milion, żeby targnąć się na życie. Kiedy nie ma nadziei, kiedy gasną ostatnie latarnie złudzeń, jaki jest sens dalszej egzystencji, albo raczej wegetacji. Doskonale poznałem oblicze śmierci, obcowałem z kostuchą jak z najśłodszą kochanką, spoglądałem jej w oczy, ale nigdy nie zdobyłem się na odwagę, by złożyć na jej trupich ustach ostatni pocałunek. Może dlatego, że miałem swój cel? A może po prostu za każdym razem brakowało mi odwagi?

Byli wśród nas i tacy, których skazano na śmierć w majestacie prawa. Na początku wydawało mi się, że ich podziwiam, ponieważ do samego końca grali twardych jak

stal. Nie liczyli się z nikim i z niczym, siebie samych nazywali „elitą”. Pewnie do dzisiaj miałbym o nich takie zdanie, ale kiedy pokutowałem ósmy rok z dożywocia, jednemu z klawiszy rozwiązał się język.

Tak się złożyło, że pewnego dnia wybrano mnie do ekipy, która miała posprzątać strych budynku administracyjnego. Poddasze było wypełnione stertą niepotrzebnych gratów, worów ze szmatami, połaciami duszącego kurzu i tonami gołębih odchodów. Pośród masywnych, drewnianych krokwi rozpościerały się misternie utkane pajęczce sieci. Naczelnik Zalewski – nawiasem mówiąc, był z niego kawał sukinsyna – wpadł na pomysł, by na strychu urządzić archiwum. W naszej grupie sprzątaczy był jeden sznurowiec. Do waszej wiadomości, „sznurowcami” nazywaliśmy skazanych na śmierć. Ów człowiek chełpił się brutalnością i zepsuciem. Godzinami potrafił opowiadać o skrzywdzonych przez niego ludziach, zgwałconych kobietach i swojej życiowej misji, której motto miał wytatuowane na plecach. Litery pieczołowicie wydziergane mieszanką atramentu i sadzy układały się w zdanie pisane gotycką czcionką: „Urodziłem się po to, by czynić na ziemi piekło”. Wszyscy nazywali go „Zimny”, może i taki był, kto wie? W każdym razie uwielbiał stwarzać problemy i być zagrożeniem dla innych. Prowokował na każdym kroku, jakby tylko czekał na okazję, żeby dać upust drzemiącej w nim agresji. Nikt z nas oczywiście nie miał najmniejszej ochoty wdawać się w żadną bójkę, a już tym bardziej z człowiekiem, który gardził własnym życiem. Kiedy znaleźliśmy się na strychu, Zimny usiadł

na spróchniałym krześle i stwierdził, że ma w dupie to całe porządkowanie. Było mi wszystko jedno, co będzie robił, ale swoim zachowaniem postawił strażników w dość niezręcznej sytuacji. Nie mogli sobie pozwolić na uległość w stosunku do skazanego. Utrata autorytetu w obecności więźniów była niedopuszczalna i mogła nawet oznaczać pożegnanie się z posadą. Powiem wam, że to były ciężkie czasy, na zewnątrz praca znaczyła – chleb. Gdyby wśród cyngli nie było Robalskiego, nasz twardziel dostałby taki łomot, że znowu przez miesiąc dochodziłby do siebie w izbie chorych, co zdarzało mu się już nieraz. To właśnie Robalski jednym ruchem ręki powstrzymał swoich współpracowników. Podeszedł do sznurowca, stanął przed nim w rozkroku i spokojnym głosem oznajmił:

– Słuchaj, chłopcze, jestem tu dłużej niż ty i możesz mi wierzyć, że widziałem nie takich gerojów. Wiem, o co dba taka gnida jak ty! O twarz, prawda? Chcesz zaimponować innym, pokazać, że twoje ciało i umysł są niczym skała. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, w kogo niebawem się zmienisz. Wiesz, jak to jest? Któregoś wieczoru przyjdziemy bez zapowiedzi, staniemy w drzwiach twojej celi, a ty w mig pojdziesz, że dzisiejszej nocy kat założy ci pętlę na szyję. Jeżeli twoje nerwy nie zawiodą, wyjdiesz z bloku o własnych siłach, ale kiedy znikniemy w korytarzu, wszystko się zmieni. Będziesz płakał jak dziecko, będziesz błagał i skomlał o litość, zaczniesz się szarpać i wierzgać, ale nasze dłonie pochwyć cię mocno. Oblejesz się lodowatym potem, może nawet tak jak inni narobisz w gacie i będziesz obiecywał

poprawę. Wprowadzimy cię na drewniane podium, ksiądz udzieli ci ostatniej posługi, najpierw nałożą ci na głowę czarny kaptur, a potem poczujesz, jak sznur oplata twoją szyję. Będziesz krzyczał, błagając o wybaczenie, a w duchu przeklinał noc, kiedy cię splotzono. Będziesz chciał do mamusi, ale nic z tego. Na koniec usłyszysz zgrzyt zapadni i poczujesz, że lecisz w dół. Niektórzy powiadają, że w takich chwilach człowiek widzi całe swoje życie. I nagle potworne szarpnięcie! – Zamilkł na moment i spojrzął mu prosto w oczy. – A wiesz, co ja zrobię następnego dnia? Opowiem każdemu więźniowi, którego znałeś, jak naprawdę wyglądał twój koniec. Wyobraź sobie, że już w dniu pochówku będą wspominali twoją marną osobę z największą pogardą, może jeden z nich odleje się nawet na twój grób. Chcesz tego, synu?! Jeśli tak, to siedź, odpoczywaj i nie ruszaj się z tego miejsca.

Zauważyłem, że oczy sznurowca zrobiły się nagle nerwowe i rozbiegane. Strzelał wzrokiem we wszystkich kierunkach, niczym skarcony przez ojca chłopiec. Chyba dotarło do jego świadomości, że jeśli chce zachować swoją próżność, musi teraz tańczyć, jak mu zagrają.

– Wąchaj mi dupę, śmierdzieliu! – syknął przez poźółkłe zęby za odchodzącym strażnikiem, po czym ruszył razem z nami do roboty.

Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, jakieś dwa miesiące później było tak, jak mówił Robalski. Przyszli po niego tuż przed ciszą nocną. Kiedy pod eskortą strażników przemierzał więzienny korytarz, zachowywał się godnie,

jak przystało na człowieka z elity. Szedł na spotkanie ze śmiercią prężnym krokiem i z dumnie uniesioną głową. Co się stało potem? Nigdy nie dowiedzieliśmy się, jaki naprawdę był jego koniec.

Miewałem takie dni w swoim życiu, kiedy podróżowałem po krainie marzeń i wyobrażałem sobie, jak mogło wyglądać moje życie. Nurtowały mnie pytania: kim mogłem zostać? czego dokonać? jakie miejsca zobaczyć? Chociaż doskonale wiedziałem, że takie rozmyślania są gorsze od całej zgryzoty świata, nie potrafiłem powstrzymać uporczywych myśli. Kiedy człowiek raz zapuścił się na ścieżki urojonej rzeczywistości, wpadał w bezlitosną pułapkę własnych pragnień. Potrzebowałem wielu lat, aby zrozumieć, że nadzieja jest mrzonką, a moim przeznaczeniem jest cierpienie. Najgorsze w więzieniu były noce pełne samotności i odrętwienia. Bezsenne godziny wlokły się w nieskończoność. Tylko ja i blask księżyca, przeciskający się pomiędzy kratami więziennego okna. Zwinięty w kłębek, z twarzą wtuloną w cuchnącą poduszkę płakałem za utraconym rajem.

Właściwie nie mam ochoty opowiadać wam o mojej rozpacz, tęsknocie i żalu, tym bardziej dzisiaj, kiedy już jestem u schyłku życia. Teraz moim jedynym wrogiem jest umykający czas. Nie spłodziłem syna, nie zbudowałem domu, nie posadziłem drzewa. Nic po sobie nie zostawiłem. Czy to nie jest przerażające?! Od dawna chciałem zapisać swoje wspomnienia, ale do tej pory nic z tego nie wyszło. Swoją drogą, nadal powątpiewam we

własne siły. W głębi duszy chciałem tego dokonać, i to nawet bardzo, ale boję się, że nie zdążę skończyć, zanim krew na zawsze zastygnie w moich żyłach.

Stare powiedzenie mówi, że lepiej późno niż wcale. Wiem sam po sobie, przeżyłem blisko ćwierć wieku, zanim nauczyłem się czytać i pisać! Kiedy jednak poznałem litery i kiedy już potrafiłem rozszyfrować wyrazy, książki stały się moimi przyjaciółmi. Skromną, więzienną bibliotekę we Wronkach strawiłem w całości niezliczoną ilość razy, prawie do znudzenia. Natura obdarzyła mnie dobrą pamięcią, nawet teraz mógłbym wyrecytować dwanaście ksiąg *Pana Tadeusza*. Oczywiście mógłoby się zdarzyć, że potknąłbym się kilka razy, ale dopiąłbym celu. Wystukanie na pamięć epepei zajęło mi w pudle tylko dwa lata. Śmieszna sprawa, poszło o zakład, o jedyne dziesięć paczek papierosów i dziesięć opakowań herbaty, ale o tym może później. Do czego jednak zmierzam? Chciałbym, żeby wspomnienia, które wciąż niezatarte żyją w mojej pamięci, nie umarły wraz ze mną. Takie właśnie mam marzenie. Jedyne, co mogę po sobie zostawić, to opowieść o własnym życiu. Nie oczekuję od was współczucia ani zrozumienia, nie mam także zamiaru rozgrzeszać nikogo ani wybaczać winnym, nie o to chodzi.

Opowiem wam o podłości, bólu, cierpieniu i nadziei, która potrafi zabijać. Doskonale wiem, do jakich granic może posunąć się istota rodzaju ludzkiego. Znam świat wybrukowany zepsuciem i zwyrodnieniem, gdzie koszmar jest normalnością, a śmierć – krótkim i gorzkim westchnieniem. Opowiem wam o prawdziwej wolności,

obsesyjnej, pełnej goryczy zemście, zwątpieniu, niegodziwości i przewrotności losu, przyjaźni okupionej krwią, marzeniach prowadzących na szafot i przede wszystkim o ludziach, których istnienie przeminęło jak beztroski podmuch wiatru.

TOM I

Na pohybel całemu światu!



W dzieciństwie czasami widywałem na ulicach Kalisza automobile. Wystarczyło, aby rozległ się w pobliżu charakterystyczny dźwięk silnika, a już z chłopakami biegliśmy na złamanie karku, żeby zobaczyć, jak dostojnie potrafi sunąć taka maszyna. Piękna i dumna. Połyskująca w promieniach słońca oślepiającym chromem i wypucowanym lakierem, niczym bajeczny rumak w stalowej zbroi. Możecie mi wierzyć na słowo, ale nie było takiego przechodnia, który odmówiłby sobie spojrzenia na ów cud techniki. Nigdy bym nie przypuszczał – do dziś nie mogę uwierzyć – że moja pierwsza podróż spalinowym wehikułem powiodła mnie wprost do ponurego miejsca mojego zesłania.

Takich dni i takich podróży nie zapomina się do końca życia.

Był piątek, 21 lipca 1922 roku.

Ze snu wyszarpał mnie miarowy i energiczny odgłos kroków rozbrzmiewających w korytarzu. Nie trudno sobie wyobrazić, jaki dźwięk wydają o czwartej nad ranem podkute metalowymi zelówkami podeszwy butów, składając pocałunki na kamiennej posadzce. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale wiedziałem, że idą po mnie, że nadszedł już mój czas. Otworzyłem oczy i nasłuchiwałem. Byli coraz bliżej. Wstrzymałem oddech. Po drugiej stronie drzwi zbliżały się prężne łąpanięcia. Dudniły w tej bezdusznej ciszy, jakby maszerował cały batalion rekrutów. Moje serce pochwyciło ten sam rytm i poczułem, jak fala nieprzyjemnego ciepła rozlewa się w moim ciele. Obroza strachu ścisnęła mi krtań. Nagle rozległo się

znajome szurnięcie krążka w wizjerze drzwi. Ktoś zerknął przez mały otwór do wnętrza celi, a potem pociągnął za masywną zasuwę. Solidne zawiasy drewnianych drzwi złowieszczo zaskrzypiały. Ponury zgrzyt stalowej melodii na chwilę uraczył ten kawałek świata swoją króciutką etiudą i momentalnie rozpierchł się w sennej przestrzeni.

Moim oczom ukazały się dwie postacie odziane w wojskowe mundury. Czarne buty z wysokimi cholewami aż błyszcząły od nieskazitelności. Perfekcyjnie wypastowane sprawiały wrażenie, że można się przejrzeć w ich zaokrąglonych czubkach. Pieczołowicie wyprasowane bryczesy, równomiernie obciążone bluzy, wszystko dopięte na ostatni guzik. A te rogatywki z czerwonym otokiem i srebrnym orzełkiem nad daszkiem! Ech, nie ma co, prezentowali się wyśmienicie!

Ten głos rozpoznałbym nawet na drugim końcu świata. To był wachmistrz Łapicki we własnej osobie.

– Ooo, Żabikowski? Czekaleś na nas? – zapytał jak zawsze drwiącym tonem.

– Chyba przeczucie – odparłem.

– No to jak widać, tym razem cię nie zawiodło. Wstawaj, idziemy!

Podniosłem się. Dla zachowania pozorów wygładziłem dłonią stary, pledowy koc i wyświechtaną poduszkę. Omiotłem wzrokiem małą celę, w której przeżyłem ostatnie trzy miesiące życia. Trzy parszywie długie miesiące oczekiwania i niepokoju. Trzy miesiące wpatrywania się w te same ściany.

Musicie wiedzieć, że każda cela to miejsce kaźni,

gdzie czas znęca się nad człowiekiem. Jesteś tylko ty, twoje myśli i czas płynący w zwolnionym tempie. Sunie leniwie i pastwi się nad tobą, zagląda ci w umysł, budzi wspomnienia, zadaje pytania, na które nie ma odpowiedzi.

Ruszyłem w stronę otwartych drzwi. Kiedy szedłem korytarzem, już nie miałem tego złudzenia, że odgłos marszu rozsadza cały budynek.

– Tak, Żabikowski, najwyższa pora zamienić ciepłe, garnizonowe gniazdko na zimną, więzienną norę, prawda? – Łapicki nie mógł sobie odpuścić docinków.

Nie odpowiedziałem, nie było nic do dodania.

Widziałem nieraz, w jaki sposób Łapicki ścigał młode wojsko. Potrafił się diabelsko wydzierać, jak na ułana przystało, ale w gruncie rzeczy był porządnym i honorowym człowiekiem. Nikogo nie traktował podle, nawet mnie. Kiedy miał humor, częstował papierosem i zamieniał kilka słów. Chyba lubiłem go właśnie za sposób bycia. Lubiałem też słuchać, kiedy mówił. Gość potrafił wesoło opowiadać i zawsze miał w zanadrzu jakieś przaśne powiedzenie.

Jedno z nich szczególnie utkwilo mi w pamięci.

To było chyba miesiąc wcześniej, kiedy Piętnasty Pułk Ułanów przygotowywał się do inspekcji. Ktoś ważny miał przybyć prosto z samej stolicy, dlatego wszystkich oficerów ogarnęła dziwna, nerwowa gorączka. Owego dnia ja i kilku innych aresztantów pracowaliśmy obok garnizonowej kuźni, wojsko zaś stało w kolumnach na placu. Łapicki przechadzał się wzdłuż szeregów i grzmiał donośnym głosem:

– Drogie panie i miłe dziewczęta! – Na dźwięk tych słów wszyscy żołdacy jak jeden zanieśli się gromkim śmiechem. Wachmistrz poczekał cierpliwie, aż ucichnie salwa rozbawienia, po czym mówił dalej: – Już dziś będziecie mieli okazję poznać prawdziwe znaczenie słowa „porządek”! Ja, jak każdy prawdziwy żołnierz, uwielbiam bałagan i gnój, ale z tym wyjątkiem, że ja lubię gnój tylko w kupkach!

Urzekła mnie złota myśl Łapickiego „Lubię gnój tylko w kupkach” i zapamiętałem ją na zawsze.

Kiedy po raz ostatni przemierzałem korytarz garnizonowego aresztu, opuścił mnie strach i niemal czułem ulgę. Mając świadomość, że za kilka godzin moje życie na zawsze legnie w gruzach, nie potrafiłem wykrzesać z siebie żadnych uczuć. Nie umiałem nawet pomyśleć o czymś sensownym. Umysł wypełniały mi abstrakcyjne wspomnienia, takie jak to o porządku i umiłowaniu do gnoju.

Wyszliśmy z budynku. Na dworze jawił się cudowny, lipcowy świt. Od wschodu niebo delikatnie jaśniało w pierwszych promieniach słońca. Ponad naszymi głowami migotały jeszcze niezliczone punkciki gwiazd i unosił się srebrny półksiężyc. Powietrze było świeże i rześkie, cudownie pachniało rosą i... radością.

– To ile się u nas byczyłeś? – zapytał Łapicki i wyjął swoją mosiężną papierośnicę.

– Prawie od świąt Wielkiej Nocy – odparłem po krótkiej chwili udawanego namysłu.

Tak do końca nie była to prawda, ale po co miałem

zagłębiać się w szczegóły. Jakie to miało teraz znaczenie? Zostałem zatrzymany pod koniec lutego i osadzony w areszcie kaliskiego sądu na czas prowadzenia śledztwa. Potem była pokazowa i błyskawiczna rozprawa. Przed sądem stanąłem w czwartek, szóstego kwietnia, a jedenaście dni później, czyli w poniedziałek, siedemnastego zapadł wyrok. Następnego dnia, nawet nie mam pojęcia dlaczego, wylądowałem tutaj. Wiedziałem tylko tyle, że kiedy nadejdzie czas, mają mnie stąd przetransportować do Wronek na całą, niewiadomą, resztę mojego żywota.

– Masz, zapal sobie. – Poczęstował mnie precyzyjnie skręconym papierosem. – Powiedz mi jeszcze, Żabkowski, żałujesz chociaż trochę?

Zaciągnąłem się głęboko dymem i poczułem w ustach przedni tytoń o rozkosznym smaku. Najbardziej jednak idiotyczne pytanie, jakie mogłem usłyszeć, zabiło smak papierosa. Czy żałuję? Miałem ochotę krzyknąć mu w twarz. Mogłem też udawać, że puściłem jego słowa mimo uszu. Spojrzałem mu jednak prosto w oczy i skinąłem głową. Gdyby ten chłop wiedział, ilu rzeczy żałuję! Ale co tam mój żal, po tysiackroć była dla mnie gorsza świadomość własnej niemocy! Kto tego uczucia nie doświadczył, ten nigdy nie pojmie.

– Noo taak – powiedział przeciągle Łapicki i zerknął na zegarek. – Mieli tutaj być już jakiś czas temu. Ha, niech żyje służba więzienna i jej punktualność! – Pogardliwie splunął na trawnik.

Ze stajni za budynkiem wartowni dobiegały odgłosy życia. W porannej ciszy zabarwionej śpiewem ptaków

dało się usłyszeć rzenie i parskanie koni, przestępowanie kopyt i niewyraźne bluźnierstwa stajennego.

Nagle po drugiej stronie muru rozległ się warkot jadącego samochodu, a po chwili zza rogu budynku wyłoniła się ciemna sylwetka furgonetki.

Zatrzymała się przed nami na wyciągnięcie ręki. Dwa miejsca siedzące z przodu i obudowana paka. Za kierownicą siedział w średnim wieku mężczyzna odziany w brązowy mundur, a miejsce obok niego zajmował pasażer w cywilnym ubraniu.

Wysiedli. Człowiek w szarym garniturze kiwnął głową na Łapickiego. Na wachmistrza ten błahy gest podziałał jak komenda przełożonego. Natychmiast podszedł do niego prężnym krokiem, strzelił obcasami i zasalutował. Nawet idiota by się domyślił, że szpakowaty cywil z czarnym, delikatnym wąsikiem był kimś ważnym. Mężczyźni odeszli kilka kroków w tył i przez krótką chwilę rozmawiali. Warkot silnika skutecznie zagłuszał ich głosy. Patrząc na ruchy warg tajemniczego jegomości, czułem, jak w moim sercu zaczyna rodzić się niepokój. Zmroziły mnie jego bystre, przenikliwe i pełne chłodu oczy. Kiedy kilka razy nasze spojrzenia skrzyżowały się niczym stalowe ostrza, jego nienawistny wzrok przeszywał mnie na wskroś. W pewnym momencie rzucił w moim kierunku:

– Skuć go! – Mężczyzna miał groźny i władczy głos.

Kierowca furgonetki podszedł do tylnych drzwi pojazdu, otworzył je energicznym ruchem i sięgnął po

kajdany. Kiedy szedł w moją stronę, w prawej dłoni trzymał pęk łańcuchów, które ponuro szczykały, kołyszając się w rytm jego kroków. Kazał mi stanąć w lekkim rozkroku. Nad kostkami stóp poczułem zimne, stalowe obejmy połączone oczkami łańcucha. Potem założył mi identyczne na przeguby dłoni. Kiedy skończył, kazał opuścić mi ręce wzdłuż ciała i kolejnym elementem połączył łańcuchy u stóp i rąk.

Powiem wam jedno, kiedy człowiek jest w ten sposób spętany, czuje się okropnie. Chyba za nisko opuściłem górne kończyny, bo stałem tak, jakby barki ciągnęły mnie w dół. Nie wiem, czy tamten to zauważył, czy po prostu zignorował. A może stwierdził, że to nie jego problem. W każdym razie było mi potwornie niewygodnie.

Minęła długa chwila, zanim wachmistrz i cywil skończyli rozmowę.

Podeszli w naszą stronę.

– Skocz na dyżurkę i przynieś jego akta – rzucił Łapicki do młodego żołnierza.

Chłopak tylko kiwnął głową, obrócił się na pięcie i wbiegł do budynku.

– Na budę! – syknął cywil.

Ten, który mnie skuł, chwycił moje ramię i pociągnął w kierunku okratowanej paki samochodu. Łańcuchy u stóp skutecznie uniemożliwiały zrobienie normalnego kroku. Musiałem drobić i szybko przebierać nogami, żeby się nie wyrwać. Z trudem ulokowałem swoje ciało na małej, drewnianej ławce wewnątrz furgonetki. Kiedy ja wykonywałem złożone kombinacje, żeby usiąść, człowiek

o przerażającym wzroku miał już w rękach moje akta. Przez nieduże okno na przeciwnej burcie widziałem, jak sprawdzał, czy są w nich wszystkie papiery, zarówno te ważne, jak i te mniej istotne.

Hm, teraz mi przyszło do głowy, jak absurdalne jest nasze życie. Pomyślcie sami, wszystko, co stanowi o naszym jestestwie, musi mieć pokrycie na papierze. Dokumenty, cenzurki, metryki, akta, banknoty... papier, papier, papier... bez niego nie istniejemy, nic nie znaczymy. Jest nieodłącznym towarzyszem człowieka, takim materialnym cieniem, snującym się razem z nami przez całe życie. Albo jeszcze inaczej, może to nie on nam, tylko my jemu jesteśmy podporządkowani? Sądzę, że ludzie zawsze będą niewolnikami papieru.

Nie miałem pojęcia, jak długo przyjdzie nam jechać, ale bardzo szybko zrozumiałem, że ta podróż będzie daleka od przyjemności. Samochód toczył się po wybrukowanych ulicach, podskakiwał, a ja czułem na tyłku uderzenia każdej granitowej kostki. Dłonie trzymałem pomiędzy rozchylonymi udami, a palce kurczowo ścisnęły krawędź drewnianej ławki. Właściwie mogłem się położyć na podłodze, chyba byłoby wygodniej, ale tym samym pozbawiłbym się możliwości spoglądania przez okno.

Okno na świat, jakże przewrotna metafora! Moje okno na świat było okratowane i ulokowane w drzwiach więziennej furgonetki, a ów świat za szybą dopiero budził się do życia. Mijaliśmy zaspane kamienice, puste podwórza i głuche bramy. Kilka razy dostrzegłem handlarzy



rozstawiających pierwsze stragany. W pewnym momencie przejechaliśmy obok grupy rozkrzyczanych dzieciaków. Żaden z nich nie miał więcej niż dziesięć lat. Uśmiechnąłem się pod nosem, bo przypomniałem sobie, że kiedy byłem w ich wieku, również sprzedawałem gazety i wstawałem wcześniej rano, aby zdążyć do drukarni. Tak właśnie było... Na samo wspomnienie tamtych beztróskich dni moje oczy zrobiły się mokre od łez. Doskonale znam to uczucie, kiedy biegniesz o świcie ulicami miasta, kiedy czujesz, jak w twoich młodych żyłach tętni krew, kiedy wszystko wydaje się możliwe i kiedy nie planujesz, jak przetrwać kolejny dzień, bo wiesz, że wszystko, co się dzisiaj wydarzy, będzie jedną wielką niespodzianką. Przez krótką chwilę to piękne wspomnienie oderwało mnie od rzeczywistości, jakbym sięgnął pamięcią w swoje inne wcielenie, w swoje inne życie.

Chyba dopiero wtedy, gdy przejeżdżaliśmy przez most łączący brzegi Warty, dotarło do mojej świadomości, dokąd mnie wiozą. Nie miałem żadnych wyobrażeń na temat więzienia. Kilka razy słyszałem, że ponoć jest tam gorzej niż w piekle. Równie dobrze jednak mógłby mi ktoś powiedzieć, że jest gdzieś na świecie miejsce piękniejsze od raju, a też nie potrafiłbym go sobie wyobrazić.

Most na Warcie. Pamiętam, jakby to było wczoraj. W duszy przewijają się wspomnienia niczym kadry filmowej taśmy. Widzę, jak uśmiechy słońca biegają po rzece, miasto na tle błękitnego nieba oddala się wraz z drugim brzegiem, a ja, choć wydaje się to cholernie głupie, jestem podekscytowany, że niebawem spotka mnie

w życiu coś nowego. Miałem zaledwie dwadzieścia dwa lata i chyba tylko młody wiek mógł być dla mnie usprawiedliwieniem. Przecież byłem tylko naiwnym młodzieńcem, który cisnął swoje życie w rynsztok, zanim się ono tak naprawdę zaczęło.

Dziś jestem dużo starszy i nieco mądrzejszy do tamtego młokosa; na powrozie splecionym z przeżyć ciągnę za sobą kufry pełne doświadczeń. Kiedy czasami jednak zastanawiam się nad tym wszystkim, pojmuję, że im więcej wiem i poznaję, tym bardziej się boję. Prawda jest taka, iż nieświadomość uwalnia człowieka od strachu. Gdybym dzisiaj siedział w tej furgonetce i zdawał sobie sprawę z tego, co tracę i co mnie czeka, myślę, że moje serce pękłoby z żalu.

Niespełna kilometr dalej minęliśmy ostatnie zabudowania i droga zmieniła się w polny trakt. Wyboje i koleiny powodowały, że samochodem rzucało na boki. Lipcowe, poranne słońce wspinało się ponad horyzontem, a jego promienie wpadały przez okratowane okno i łaskotały moje policzki. Dookoła rozpościerały się połacie barwnych pól, a ich widok działał na mnie kojąco. Delikatne podmuchy wiatru poruszały kłosami zbóż, które leniwie falowały. Diamenty rosy szklily się na żdźbłach traw i ni stąd, ni zowąd przypomniały mi tamto lato, kiedy ja, Trufel i Pesteczka rąbnęliśmy staremu Alojzemu pół butelki wina porzeczkowego. Właściwie to Trufel ukradł, bo my z Pesteczką staliśmy na czatach. To dopiero była przygoda! Uśmiechnąłem się do swoich wspomnień. Potem bieглиśmy ile sił w nogach przez łąkę, która rozpo-

ścierała się za młynem i ciągnęła aż do samego lasu. Trawa była wysoka, bo sięgała niemal do połowy łydki. Pędziliśmy jak szaleni. Pesteczka pierwszy, ja tuż za nim, a otyły Trufel z butelką za pazuchą daleko z tyłu. Kiedy zdyszani zatrzymaliśmy się przed ścianą lasu, najpierw poczułem, a potem zauważyłem, że moje buty i spodnie od kolan w dół są mokre od rosy.

Mieliśmy w lesie takie miejsce, które nazwaliśmy „Jelenia Górka”. Dlaczego Jelenia Górka? Nie mam pojęcia, tak się utarło, a w sumie to nawet nie była żadna górka, tylko zwykła polanka.

Usiedliśmy na zwalonym konarze drzewa.

– Kto pali? – zapytał Pesteczka i wyciągnął przed siebie otwartą dłoń, na której spoczywały trzy niezdarnie skręcone papierosy.

– A jak myślisz, durniu? – bardziej oznajmił, niż zapytał Trufel. Prawą ręką sięgnął po papierosa, ocierając jednocześnie lewą dłonią spocone czoło.

– Trufel, baryłko, nie musisz się do mnie zwracać tak samo, jak mówi do ciebie twoja matka.

Parsknąłem z rozbawienia i zakrztusiłem się dymem. Dyskusje w tym stylu toczyliśmy między sobą każdego dnia i przeważnie chodziło w nich tylko o to, żeby obrazić lub upokorzyć swojego rozmówcę. Jedynym niebezpieczeństwem było czasami zachowanie Trufla. Kiedy stawał się bezradny w słownej potyczce, rzucał się na człowieka i dawał mu wycisk. W fizycznym starciu nie mieliśmy z nim najmniejszych szans.

– Pesteczka, gamoni, ostrzegam cię, jeszcze jedno

słowo o mojej matce i włożę ci twój nos do mojej dupy. Zrozumiałeś?

– Dajcie spokój, chłopaki, jest fajnie – wtrąciłem się do rozmowy. Wiedziałem, że wystarczy jeden epitet więcej i zaczną się przepychanki. – Las, wietrzyk szumi, ptaszki śpiewają, winko, papieroski. Czego chceć więcej?

– Dobrze, dobrze – powiedział Trufel i machnął dłonią. – Nie ja zacząłem, tylko ten wypierdek dowalił się do mojej matki!

– No to napijmy się – wpadłem mu w zdanie – po łyku na zgodę. Pasuje?

– A ty, Ropuch, nie rób się taki wielki rozjemca, dobra? – powiedział z takim wyrzutem Trufel, jakby miał przeciwko sobie cały świat.

– Sztama, Trufel? – zapytał Pesteczka i wystawił w jego kierunku zaciśniętą dłoń. Dało się usłyszeć jednak w jego głosie nutkę drwiny.

– Sztama – odparł i delikatnie zderzyli się pięściami.

Mieliśmy swój zwyczaj, że sztama i stuknięcie zawsze były na zgodę, czyli chwilowe zawieszenie broni.

Trzech trzynastoletnich gówniarzy siedziało w lesie, paliło papierosy i raczyło się trunkiem, który na pewno nie był odpowiedni do ich wieku. Cóż, nie powiem, żebym się wstydził, w końcu tacy byliśmy. Swoją drogą, Pesteczkę i Trufla kochałem jak braci. Znaliśmy się od zawsze i wychowaliśmy przy jednej, robotniczej, ulicy.

Furgonetka wpadła w ramiona lasu. Warkot silnika

wydawał się tutaj pięć razy głośniejszy niż na otwartym terenie. Patrząc przez okno, miałem wrażenie, że suniemy zielonym tunelem. Korony drzew tworzyły półkuliste sklepienie, przez które gdzieniegdzie przebijały się smugi słonecznego światła.

Droga biegła na wprost.

Las oddychał spokojem, czułem go wyraźnie, otulał mnie i przenikał. Była w nim magia, której bezwolnie się poddałem. Przyszło mi do głowy, że mógłbym tak jechać bez końca. Ta słodka, zbląkana myśl pozwoliła mi na krótką chwilę zatracić się w zapomnieniu.

Nagle samochód się zatrzymał, a chwilę potem usłyszałem trzaśnięcia drzwiami. Silnik pracował nadal.

Kierowca i pasażer wyszli z szoferki. Jeden z nich otwartą dłonią dwa razy uderzył w blaszaną burtę.

Wzdrygnąłem się.

Rozległ się metalowy zgrzyt, a chwilę później drzwi rozwarły się na oścież. W moje nozdrza uderzył podmuch świeżego powietrza.

– Wsiadaj – powiedział cywil, wbijając we mnie swój zimny wzrok.

Strażnik, stojący nieco z lewej strony, trzymał broń skierowaną w moim kierunku.

W jednej chwili zrozumiałem, że coś jest nie w porządku. Przestraszyłem się.

– Wsiadaj, ścierwo! – krzyknął mężczyzna. Chwyć dłonią za łańcuch pomiędzy moimi stopami i pociągnął z wściekłością w swoim kierunku.

Poczułem, że stalowe obroże wżynają się w moje

ciało i zdierają skórę. Potwornie zabołało! Zleciałem z ławki. Człowiek w garniturze ciągnął, a ja szarpałem się niczym piskorz w rybackiej sieci. Krzyknąłem z bólu, kiedy mój kręgosłup wygięty w łuk orał drewnianą podłogę. W pewnym momencie moje stopy dotknęły ziemi, a reszta ciała, od pasa w górę, była w furgonetcie. Szpakowaty mężczyzna nadepnął na łańcuch pomiędzy moimi stopami i pochyliwszy się, prawą dłonią ścisnął mnie za gardło.

– Uspokój się, bo cię zatłukę! – wycodził przez zęby.

Nie mogłem odpowiedzieć, miałem wrażenie, że zaraz zmiążdży mi grdykę.

– Rozumiesz, co do ciebie mówię?!

Na znak potwierdzenia mrugałem oczami i starałem się potakiwać głową. Chyba to dostrzegł, bo nieco zwolnił swój uścisk.

– Niech pan posłucha... – próbowałem mówić, chociaż sam nie wiem, co chciałem z siebie wydusić.

– Zamknij się! – wrzasnął. – Cokolwiek masz do powiedzenia, gównu mnie to obchodzi. Mam cię żywego dostarczyć do więzienia. Żywego, rozumiesz? Gdyby to ode mnie zależało, załatwiłbym sprawę jedną kulą i zakopałbym cię tu, gdzieś przy drodze. Jesteś ścierwem – wysyczał z nienawiścią, patrząc mi przez chwilę prosto w oczy. – Nie, nie zakopałbym twoich zwłok, padliny się nie grzebie. Teraz ci daruję, ale jeśli wykonasz jakiś ruch, choćby pierdniesz, strażnik strzeli ci prosto w łeb.

Zerknąłem na lufę karabinu skierowaną prosto

w punkt pomiędzy moimi oczami.

Wiedziałem, że człowiek w idealnie skrojonym garniturze nie rzucał słów na wiatr.

Mężczyzna zwoleń uścisk, złapał moją czuprynę, zrobił krok w tył i ciągnął mnie za włosy.

Przeczuwałem, co się za chwilę stanie.

– A teraz masz za swoje! – warknął.

Dostrzegłem, że kolba karabinu zmierza w kierunku mojego brzucha, a sekundę później poczułem nieznośny ból w trzewiach. Zgięło mnie w pół. Z moich ust wydobył się gardłowy jęk. Nie zdążyłem złapać oddechu, kiedy kolejne uderzenie rozszarpało mi ucho i policzek z prawej strony i odrzuciło moją głowę w bok. Zielona trawa zbliżała się do moich oczu, a chwilę później poczułem w ustach piach. Plecy, głowa, krocze, pierś, wszystko eksplodowało. Tłukli mnie i kopali na oślep. Instynktownie starałem się tylko ochronić swoją głowę.

Ostatnią rzeczą, którą zapamiętałem, było potężne uderzenie nad lewym uchem. Poczułem, jakby błyskawica rozdzierała moją czaszkę od środka, i zaraz potem zapadłem się w ciemność.

Do moich uszu dobiegały niewyraźne głosy. Ktoś coś mówił, ale nie rozróżniałem słów i wszystko zlewało się w jeden bełkot. Z trudem otwierałem oczy i miałem wrażenie, że moje powieki są ciężkie niczym stalowe przyłbice. Z każdą chwilą czułem, jak w moim ciele zaczynają płonąć ogniska, najpierw tuż nad stopami, potem na plecach, w głowie, na przegubach rąk, na brzu-

chu. Po prostu wszędzie. Pulsujące i intensywne. Kiedy jedno nieco przygasało, inne wzbierało na sile, i tak na zmianę.

Nagle uderzyła we mnie kaskada wody. Wzburzony, zimy haust wodospadu, który rozbił się o moją osobliwość świadomość. Mokry, orzeźwiający pocałunek pobudził mnie do życia i z sykiem ugasił wszystkie potworne pochodnie.

Już wiedziałem, gdzie jestem i – co najważniejsze – kim jestem.

W świetle otwartych drzwi furgonetki dostrzegłem trzy postacie, a za ich plecami tak przeraźliwie ostry błękit nieba, że aż ranił źrenice.

– Podnieś się i wysiadaj! – padła krótka komenda.

Polecenie było oczywiste i proste, tyle że ja nie miałem siły się dźwignąć. Leżałem na boku, po mojej twarzy ściekały krople wody, czułem przyjemną wilgoć, ale nie umiałem się poruszyć, jakbym był sparaliżowany.

– Do ciebie mówię, więźniu! Wysiadaj!

Mogłem jedynie spojrzeć w kierunku, skąd dobiegał głos. Chciałem się odezwać, powiedzieć tym ludziom, że nie mam siły, że nie potrafię.

– Zawleczcie go do klęcznika! – zabrzmiał dziwny rozkaz.

Dwóch mężczyzn odzianych w brązowe mundury brutalnie wyciągnęło mnie na zewnątrz. Pochwycili moje ramiona i ruszyliśmy przed siebie. Z trudem przebierałem stopami, gubiłem krok, nie nadążałem ich tempem. Miałem wrażenie, że świat dookoła się rozplywa, zupełnie



jakbym spoglądał przez łyzy. Po naszej lewej stronie mijaliśmy okazały gmach z bordowej cegły, ale nie widziałem żadnych szczegółów, wszystko zlewało się w całość. Stalowe obroże na nogach kasały i parzyły, czułem, jak zdzierają mi skórę aż do kości. Gdyby nie mocne ręce strażników, pewnie padłbym bezwładnie na twarz. Byłem przytomny, wiedziałem, co się dzieje, ale nie miałem kontroli nad swoim ciałem. Unosiłem do góry głowę, która niemal natychmiast ciężko opadała na moją pierś. Wydawało mi się, że połowa czoła i skroń w dziwny sposób zsunęły się na moje prawe oko. Miałem wrażenie, że cała krew z mojego ciała jest pompowana do górnej wargi. Była tak nabrzmiąta, jakby za kilka sekund gigantyczne ciśnienie miało roznieść ją w strzępy. Każde uderzenie pulsu było falą bólu, która rozlewała się po moim ciele.

Zatrzymaliśmy się.

Jeden z mężczyzn mocno złapał mnie za szczękę, zbliżył swoją twarz i powiedział przez zaciśnięte zęby:

– Słyszysz mnie? Słyszysz, co mówię?

– Tak – wyszeptałem i spojrzałem na jego oblicze spod wpół przymkniętych oczu. Niestety nie potrafiłem dostrzec żadnych rysów.

– Jesteśmy na więziennym dziecińcu. Zostaniesz tutaj i uklęknieš jak w kościele do modlitwy. Nie wolno ci usiąść, wstać ani się położyć. – Z każdym słowem czułem, jak wbija palce w moje policzki. – Jeżeli stanie się inaczej, niż powiedziałem, i jeżeli będę zmuszony wrócić tutaj i powtórzyć to jeszcze raz, pożałujesz, żeś się

urodził. Zrozumiałeś!?

Odpowiedziałem skinieniem głowy.

– Zrozumiałeś, gnoju!? – krzyknął i ścisnął moją żuchwę z całych sił.

– Tak – jęknąłem.

– A teraz na kolana, pokutniku. Wróć po ciebie, gdy dzwony zabiją na Anioł Pański.

Osunąłem się w dół i poczułem pod kolanami granitową kostkę.

Świat kołysał się wraz ze mną. Kiedy momentami ogarniał mnie bezwład, miałem wrażenie, że spadam w dół. Wówczas całym sobą starałem się powstrzymać ten lot, bo wewnątrz mnie krążyła myśl, która krzyczała, że dam radę, że wytrzymam. Ból przemieszczał się w moim ciele z miejsca na miejsce niczym wędrujący szczur w labiryncie bez wyjścia. Wiedziałem, że muszę mieć otwarte oczy, że nie mogę pozwolić, aby moje powieki opadły i porwała mnie ciemność. Chwilami szum w głowie dmuchał w najwyższe tony i przeistaczał się w świdrujący pisk, jakby chciał tym dźwiękiem rozsadzić mi czaszkę.

Ni stąd, ni zowąd zacząłem się w duchu modlić. Błagałem Boga, żeby mnie wspierał, żeby dodał mi sił i odwagi, żeby zlitował się nad moim losem, żeby wybaczył mi wszystkie grzechy i żeby... uwolnił mnie od strachu przed budynkiem, który znajdował się przede mną. Front potężnej budowli wzniesionej z krwistej cegły bardziej kojarzył się z klasztorem lub kościołem niż więzieniem. Widziałem pośrodku strzelistą wieżę zakoń-

czoną dachem w kształcie trapezu, ozdobne gzymsy, wycięcia, łuki, witraże w oknach. Mniej więcej na dwóch trzecich jej wysokości po obu stronach odrastały masywne ramiona i biegły w dół, by jeszcze nieco niżej rozejść się całkiem na boki i na końcach wysunąć do przodu. Kiedy patrzyłem na gmach, miałem wrażenie, że pragnie mnie uściskać i przytulić. Wydawało mi się, że posępne mury szepczą zakłęte powitanie.

Chciałbym wam powiedzieć, że dałem radę i nie złamałem się tego pierwszego dnia, ale niestety tak nie było.

Doskonale przypominam sobie to przedpołudniowe lipcowe słońce i rozkoszne ciepło na mojej twarzy. Pamiętam, jak kolana pęcznią mi z bólu, ale nie mogę odnaleźć w pamięci dźwięku dzwonów na Anioł Pański.

Nie dotrwałem i straciłem przytomność. Na pewien czas świat po prostu zniknął. W jednej chwili klęczę na dziedzińcu, a chwilę później leżę i spoglądam w biały sufit.

Usłyszawszy z lewej strony przytłumione głosy, obróciłem głowę w tamtym kierunku. Byłem w sali, która przypominała szpitalną izbę. Mężczyzna w białym fartuchu zbliżał się do mojego łóżka. Poczulem, że przyłożył mi do nosa wilgotną szmatę.

– To sole trzeźwiące – oznajmił.

Sekundę później coś gruchnęło pod moją czaszką i rzeczywistość momentalnie stała się znowu jaskrawa i wyraźna. Może zbyt wyraźna, bo aż zakreśliło mi się w głowie.

Mężczyzna pomógł mi usiąść na łóżku.

– Jak się czujesz? – zapytał bez jakiegokolwiek troski w głosie. – Możesz poruszać rękami i nogami? Możesz pokręcić głową?

– Chyba tak – odparłem.

– Wstań.

Posłusznie wykonałem polecenie.

Byłem ubrany tylko w bieliznę.

– Zrób kilka kroków.

Zauważyłem, że na przegubach dłoni mam bandaże. Spojrzałem w dół na moje bose stopy. Ponad kostkami również były opatrunki. W kilku miejscach na moim poranionym ciele dostrzegłem ślady kremowego proszku.

– Zdezynfekowałem rany jodoformem – powiedział, widząc mój zdziwiony wyraz twarzy. – Czujesz jakiś silny, nienaturalny lub bardzo niepokojący ból? – zapytał głosem pełnym obojętności.

– Nie, chyba nie, wszędzie boli tak samo – odparłem. – Nic nie widzę na prawe oko.

– Za jakiś czas będziesz widział – skwitował. – Musi zejść opuchlizna.

Delikatnie dotknąłem dłońmi swojej twarzy, prawdopodobnie musiała wyglądać jak kawałek surowego, przeżutego mięsa.

– Ubierz się. – Wskazał głową na moje ubranie, leżące na krawędzi łóżka. Podszedł do stalowych drzwi, uchylił je do połowy i krzyknął: – Dozorca! Odebrać więźnia! – Obrócił się na pięcie, spojrzał mi w oczy i powiedział tym samym beznamiętnym tonem: – Nie daj

się im!

Zupełnie zaskoczony jego słowami odpowiedziałem tylko nieznacznym skinieniem głowy.

Chwilę później barczysty mężczyzna w brązowym mundurze prowadził mnie pustymi korytarzami.

Udaliśmy się do jakiegoś magazynu. Za długą i szeroką ladą siedział otyły strażnik z sumiastymi wąsami. Na nasz widok wyjął grubą księgę. Musiałem podać imię i nazwisko, wagę, wzrost i numer buta.

– To worek depozytowy – odezwał się grubym głosem, kładąc przedmiot na ladzie przed sobą. – Rozbierz się do naga i włóż tam ubranie. Możesz zatrzymać swój prywatny pasek od spodni. Na pewno ci się przyda.

Spojrzałem na duży, jutowy pokrowiec z rzędem popielatych guzików i drewnianym wieszakiem. Zarzuciłem na wieszak spodnie, marynarkę i koszulę, a buty i bieliznę włożyłem do środka luzem. Posłuchałem rady funkcjonariusza i zatrzymałem swój skórzany pasek. Strażnik przywiązał do worka dużą, białą kartkę, na której napisał prawdopodobnie moje nazwisko, po czym zabrał go i ulokował w rzędzie po prawej stronie, gdzie wisały dziesiątki identycznych, jutowych pokrowców. W zamian dostałem szary uniform, bieliznę, koc, poszewkę na poduszkę, kostkę mydła, ręcznik, onuce i parę wysłużonych butów. Wymieniał na głos każdą rzecz i jednocześnie zaznaczał krzyżykiem odpowiednią rubrykę w księdze. Kiedy skończył, skinął głową do klawisza, który mnie eskortował.

– Łap się za to i idziemy – warknął ten drugi.

Zebrałem otrzymane rzeczy i ruszyłem tak jak mnie Pan Bóg stworzył.

Przeszliśmy na drugą stronę korytarza. W kolejnym pomieszczeniu posadzili mnie na krześle i identyczną maszynką, jaką strzyże się owce, ogolili mi głowę niemal do gołej skóry. Potem musiałem stanąć przed kamienną ścianą, gdzie najpierw potraktowali mnie jakimś ciekłym świństwem, prawdopodobnie do dezynfekcji, a następnie spłukali to ze mnie obfitym strumieniem wody. Dopiero po tych zabiegach padła komenda, że mam się ubrać.

Strażnik prowadził mnie schodami w górę.

Znalazłem się w obszernym gabinecie. Za biurkiem siedział posępny jegomość, który na moje oko miał jakieś czterdzieści lat.

Mężczyzna, jakby od niechcenia, kołysał się na krześle, ale jednocześnie bacznie mi się przyglądał. Przed nim leżały dokumenty, kilka szarych teczek, pióro, parę luźnych kartek, gazeta i ciemny, metalowy kubek.

– Aspirant Teodor Szumski – przedstawił się spokojnym głosem. – A to pomieszczenie – omiółł pokój wzrokiem – to brama do mojego królestwa, gdzie jestem niepodzielnym władcą. Od tej chwili należysz do mnie. – Kciukami wskazał sam na siebie. – Najpierw jednak dowiemy się czegoś o tobie. – Sięgnął po teczkę leżącą na wierzchu. – Ja pytam, ty odpowiadasz, krótko i na temat, jasne?

– Tak – odparłem i jednocześnie kiwnąłem głową.

– Imię?

– Stanisław.

- Nazwisko?
  - Żabikowski.
  - Urodzony?
  - Siedemnastego października tysiąc dziewięćsetnego roku w Kaliszu.
  - Masz matkę, ojca?
  - Matka żyje. Ojciec zmarł, kiedy miałem pięć lat.
  - Masz rodzeństwo?
  - Nie.
  - Masz żonę, dzieci?
  - Nie.
  - Umiesz pisać, czytać?
  - Nie, ale znam cyfry i potrafię rachować.
  - Potrafisz, no dobrze. Masz jakiś fach?
  - Jestem stolarzem.
  - Stoolarz, aha... – powiedział przeciągle i coś zanotował w dokumentach. – Chorowałeś? Gruźlica, tyfus, szkorbut albo jakieś inne świństwa?
  - Nie.
- Aspirant Szumski pogładził się dłonią po brodzie i pstryknął palcami.
- A co ci się stało w twarz? – zapytał, podnosząc się z krzesła.
  - Nic – bąknąłem niezdecydowanie i wbiłem wzrok w podłogę.
  - Hm, ciekawe rzeczy opowiadasz, no dobrze... – mówił spokojnym głosem. Sięgnął po kubek, podszedł do szafy przy ścianie i nalał sobie czegoś z brązowej butelki.
  - Mam rozumieć, że nie powinienem się niepokoić, jeśli

kiedykolwiek twój pysk będzie tak wyglądał? – zapytał, ale nie oczekiwał żadnej odpowiedzi. – Bo widzisz, Żabikowski – rzekł po chwili – nie interesuje mnie, jakie grzechy popełniłeś, i mam gdzieś, jak wyglądało wcześniej twoje życie. Teraz tutaj będzie twój dom, a ja będę dla ciebie surową matką i groźnym ojcem. Masz przestrzegać zasad, które tu panują, masz posłuszenie wypełniać rozkazy dozorców i trzymać się z dala od problemów. Wierzę w dwie sprawy... – najpierw wskazał dłonią ponad drzwi, gdzie wisiał krzyż, a potem na ścianę z godłem narodowym, po czym uniósł nieco kubek w górę, jakby chciał wznieść toast na ich cześć, i wychylił jego zawartość na jeden raz. – wierzę w Boga i ojczyznę – dokończył myśl. Zbliżył się do biurka i puknął dłonią w szarą teczkę. – Z tego, co tutaj wyczytałem, to wydaje mi się, Żabikowski, że ty w nic nie wierzysz. A to bardzo niedobrze – pokręcił głową – będziemy musieli nad tym popracować... Jeśli chodzi o regulamin, o wszystkie zasady i obowiązki, to masz je znać, i to już twój problem, jak się tego nauczysz. Od tej chwili jesteś uświadomionym więźniem numer dwadzieścia dziewięć-jedenaście, skazanym na dożywocie i odbywającym karę w Centralnym Więzieniu we Wronkach, blok B, oddział dziesiąty. – Stał przed mną i teatralnym gestem podrapał się w nos. – Zapamiętałeś?

– Tak – odparłem prawie szeptem.

– Tak jest, panie aspirancie! – wrzasnął mi prosto w twarz. Był tak blisko, że dokładnie widziałem jego pośótkle zęby. – Tak masz odpowiadać – dokończył



spokojnym tonem.

– Tak jest, panie aspirancie – powiedziałem drżącym głosem.

– A teraz ładnie powtórz, czego jesteś świadom – rozkazał.

– Jestem więźniem numer dwadzieścia dziewięć-jedenastie, skazanym na dożywocie, karę odbywam w Centralnym Więzieniu we Wronkach, blok B, oddział dziesiąty – zakończyłem niepewnym tonem.

Szumski przez dłuższą chwilę świdrował mnie wzrokiem. Staliśmy tak na przeciw siebie, a ja czułem, że narasta we mnie obawa przed tym człowiekiem. Dobrze o tym wiedział i zadbał, żeby wlać we mnie strach i respekt.

– Dobrze. A teraz wbij sobie jeszcze do tego głupiego łba – cedził słowa, delikatnie stukając mnie w środek czoła kantem metalowego kubka – że nie masz tutaj żadnych praw i jeśli mnie do tego zmusisz, mogę zamienić twoje życie w piekło. Zapamiętaj to sobie. Ponieważ dostałeś dożywocie, nikt nie będzie się przejmował twoim losem. Co za różnica, kiedy umrzesz? Dzisiaj, pojutrze, za pięć lat. Co za różnica? – przemawiał niczym aktor wygłaszający monolog. – Dla mnie żadna, dla ciebie istotna, prawda? – skwitował, wzruszając ramionami i patrząc na mnie z uniesionymi brwiami, jakby oczekiwał odpowiedzi.

– Tak jest, panie aspirancie – odparłem pospiesznie.

– Dobrze, chyba zaczynasz rozumieć. Myślę, że spotkamy się jeszcze nieraz.

Kilka minut później w towarzystwie strażnika zostawiłem za sobą okratowane przejście. W jednej chwili zimny dreszcz oplótł moje plecy. Jakkolwiek bym sobie wyobrażał to miejsce, każda wizja minęłaby się z prawdą.

Podniosłem wzrok.

W górę pięły się posępne ściany szarego muru, stalowych prętów i ciszy.

Ponura katedra odkupienia.

Metalowe poręcze i barierki, drewniane schody i podesty. Cele ciągnęły się w rzędach po obu stronach bloku i mieściły się za masywnymi, drewnianymi drzwiami. W oddali ściana na wprost wpuszczała do środka światło dnia przez potężne, okratowane okno, które biegło jednym ciągiem przez wszystkie kondygnacje. Właściwie była to olbrzymia konstrukcja, która przypominała jednobarwną szachownicę zbudowaną ze stalowych poprzeczek i prostokątów z grubego, nieprzejrzystego szkła.

Szedłem przed siebie co kilka kroków lekko popychany przez eskortującego dozorcę. Czułem, że drżą mi nogi, a serce wściekle łopocze w piersiach. Nieuchronnie zbliżał się moment, kiedy będę musiał przekroczyć próg celi. Obawiałem się tego, co spotkam w środku, po drugiej stronie drzwi.

– Otworzyć sześćdziesiąt siedem! – krzyknął mundurowy za moimi plecami i pchnął mnie, kierując w stronę schodów po prawej.

– Otwieram! – odpowiedział czyjś głos.

Kiedy stąpaliśmy po drewnianych stopniach, na-

szym krokom towarzyszyło echo. Dotarliśmy na drugi poziom.

W ustach miałem tak sucho, że język przykleił mi się do podniebienia.

Kilkanaście metrów przede mną stał w rozkroku kolejny strażnik i trzymał w dłoni czarną pałkę. Pokiwał nią w moim kierunku.

Serce waliło mi tak, jakby za moment miało eksplodować, a niewidzialne palce coraz mocniej ścisnęły za gardło.

– Witam w apartamencie numer sześćdziesiąt siedem. – Mężczyzna kiwnął głową w stronę otwartych drzwi.

Kiedy zobaczyłem małą, pustą celę, pryczę, drewniany stół, taboret, niedużą szafkę wiszącą na ścianie, miskę na pokrzywionym trójnogu i dwa metalowe wiadra, pamiętające chyba jeszcze dziewiętnasty wiek, poczułem się tak lekko, jakby jakaś boska siła wystrzeliła mnie aż do chmur. Wszystkie moje nieuzasadnione obawy, strach i panika opuściły mnie jak za dotknięciem magicznej różdżki. Właściwie to sam nie wiem, dlaczego się bałem. Co gorszego mogło mnie jeszcze dzisiaj spotkać oprócz tego, czego już zdążyłem doświadczyć? Jeszcze jedno bolesne lanie?

– Wchodzisz czy mam ci pomóc? – syknął strażnik i delikatnie trzepnął mnie pałką w obojczyk.

Nigdy nie trzeba było mi dwa razy powtarzać.

Wszedłem do środka.

– To wiadro z pokrywą jest puste i to jest twój ki-

bel, tam szczasz i srasz. Drugie jest pełne wody – powiedział dozorca, wskazując na kubły. – Wody używasz do picia, do mycia i do zalewania tego, czym zapaskudzisz kibel. Wodę oszczędzasz, bo jest uzupełniana tylko raz na kilka dni. Kible są opróżniane każdego ranka. Reszty dowiesz się później. – Obrócił się na pięcie i wyszedł z celi.

Stałem przez dłuższą chwilę i obserwowałem pomieszczenie. Na szarych, podrapanych ścianach były wyryte znaki przypominające litery. Coś jak inicjały, może imiona, nazwiska albo nazwy. Były też cyfry. Domyśliłem się, że to daty. Zauważyłem również kilka nieudolnych rysunków. Ślizgając się wzrokiem po ścianach, przyszło mi na myśl, że kilka osób musiało zostawić tutaj część swojego smutnego życia. Spojrzałem na metalową pryczę, rzuciłem ekwipunek na stół i ostrożnie położyłem się na łóżku. Wymiętolony siennik i nieduża poduszka cuchnęły stęchlizną. Leżałem na wznak z zamkniętymi oczami i chłonałem ciszę, która mnie otulała.

Poderwałem się na równe nogi, kiedy usłyszałem wściekły i natarczywy dźwięk. Zupełnie jakby ktoś energicznie ciągnął za sznur dzwonu lub walił w jego kielich metalowym trzonkiem. Po chwili z drugiej strony drzwi rozległa się nerwowa wrzawa. Uderzenie, zgrzyt metalu i wykrzyczana komenda: „wychodzić!”. Uderzenie, zgrzyt metalu, „wychodzić!”. Uderzenie, zgrzyt metalu, „wychodzić!”. Ta czynność pędziła korytarzem niczym spocona lokomotywa i dotarła również do mojej celi.

Zasuwa po drugiej stronie moich drzwi uderzyła z trzaskiem.

Ostrożnie wyjrzałem na zewnątrz. Więźniowie wychodzili ze swoich klatek, stawiali krok do przodu i zamierali w miejscu. Zrobiłem to samo co reszta. Sąsiad po lewej spojrział na mnie oczami bez wyrazu i kiwnął głową. Nie wiem, jak miałem odczytać ten gest. Chciał powiedzieć zwyczajowe „czołem”? A może to miało znaczyć „czego się gapisz”? Odwzajemniłem jego skinienie.

Chociaż nigdy nie chodziłem do szkoły, poczułem się wtedy jak pierwszoklasista.

Obserwowałem i powieliałem zachowanie innych. We wszystkim, co się działo dookoła, we wszystkich czynnościach, które wykonywali więźniowie i strażnicy, był opracowany system. Kiedy rozległ się gwizdek, skazańcy wykonali obrót przez ramię, kolejny gwizdek i ruszyliśmy gęsiego w stronę schodów. Nikt się nie odzywał. Szliśmy rzędem wzdłuż ściany korytarza, niczym bydłęta prowadzone na rzeź.

Usłyszałem gwar z pomieszczenia, do którego wkraczał nasz szereg. To była więzienna stołówka.

– Tutaj już można gadać. – Mężczyzna za mną wypowiedział te słowa prosto do mojego ucha i poczułem jego ciepły oddech.

Obróciłem głowę i ujrzałem twarz człowieka, który mógłby być moim dziadkiem.

– Świeżak? – zapytał.

– Słucham? – odparłem zdziwiony.

– Nie ważne – mruknął – po gębie widać, żeś świeżak.

Nasz szereg dość szybko przesuwał się do przodu. Śniadanie wydawali dwaj rośli faceci w brudnych, szarych fartuchach i kucharskich czapach. Pierwszy czerpał chochlą z dużego kotła jakąś strawę i wlewał do metalowej miski, drugi zaś podawał każdemu więźniowi kromkę czarnego chleba i łyżkę.

Kiedy nadeszła moja kolej, ten przy kotle spojrzał na mnie i uśmiechnął się na widok mojej twarzy.

– Świeżak? – rzucił w moją stronę.

Domyśliłem się, że tak nazywają tutaj nowych skazńców.

– Tak – potwierdziłem.

Mężczyzna zaciągnął chochlą z dna kotła, jakby chciał zebrać co lepsze kaski, a potem dolał samej wody aż po brzegi. Już miał mi podać miskę, ale jeszcze zapytał:

– Który oddział?

– Dziesiąty – odparłem.

Wyraz jego twarzy zmienił się w jednej sekundzie. Przechylił miskę i wlał prawie całą strawę z powrotem do gara. Wcisnął mi ją w dłonie z resztkami tego, co zatrzymało się na dnie, i syknął przez zaciśnięte zęby:

– Wypierdalaj!

Strażnik, który stał obok, nawet nie zareagował.

Ten świat rządził się niezrozumiałymi dla mnie zasadami.

Trzymając jedzenie, szedłem przed siebie i nie wiedziałem, co mam teraz zrobić, gdzie mam usiąść, jak

się zachować. Tutaj istniały jakieś podziały pomiędzy więźniami, królowały dziwne i nieznanne mi prawa.

– Hej, świeżak! – Dziadek, który stał za mną w kolejce, teraz znalazł się tuż obok mnie. – Siadamy tutaj. – Pociągnął mnie za mankiet bluzy.

Zajęliśmy miejsca naprzeciwko siebie.

Przy każdym stole mogło usiąść sześć osób. Tylko przez krótką chwilę byliśmy sami. Kilka sekund później dołączyli do nas czterej mężczyźni.

– On jest z naszego oddziału – powiedział do nich starszek.

– A ty szczęśliwy, że możesz pomóc kolejnej duszyczce? – zapytał jeden z nich.

Pozostali sprawiali wrażenie rozbawionych.

– O, słyszę, że już zapomniałeś, jak byłeś świeżakiem – odciął się dziadek.

Reszta prawie wybuchła śmiechem.

– A ja pamiętam twój pierwszy dzień, prawie nasrałeś w gacie – rzucił inny.

Nagle zrobiło się gwarno, mówili jeden przez drugiego.

– Ile masz lat, synu? – spytał mężczyzna po mojej prawej stronie.

– Dwadzieścia dwa – odparłem.

– Jaki wyrok? – dociekał inny.

Przez moment wahałem się, czy mam powiedzieć prawdę.

– Dożywocie – wykrztusiłem w końcu.

Mężczyzna siedzący na wprost mnie zamarł w bez-

ruchu i spojrział mi prosto w oczy. Może myślał, że wyczyta w nich coś innego, może szukał jakiegoś cienia kłamstwa?

– Co zrobiłeś, że dali ci dożywocie? – W głosie starszuka brzmiało zaskoczenie.

Oczy współbiedniaków były wpatrzone w moje oblicze i widziałem w nich niecierpliwe oczekiwanie, które domagało się zaspokożenia.

– Nie chcę o tym rozmawiać – wydusiłem z siebie nieco przestraszonym tonem.

– Tajemniczy – skwitował sąsiad dziadka, a na jego twarzy zawitał dziwny grymas.

– Tak tylko pytałem – odparł spokojnie starzec – ze zwykłej ciekawości.

Przez kilka minut siedzieliśmy bez słowa.

– Więźniowie i strażnicy nazywają mnie „Ojczulek” – zaczął mówić. – Tak samo jak ty odbywam swoją karę na oddziale dziesiątym. Jeżeli nie chcesz mieć tutaj kłopotów, jeżeli nie szukasz wrogów wśród skazanych, nigdy nie mów, z jakiego jesteś oddziału. Nigdy. Możesz powiedzieć, że jesteś z bloku B, i to wcale nie będzie miało się z prawdą. Mam rację, chłopaki? – zapytał kumpli, ale nie czekał na potwierdzenie. – Blok B składa się z kilku oddziałów, a każdy z nich ma swoją literę lub cyfrę. Potraktuj to jako życzliwą radę i zapamiętaj raz na zawsze, nigdy nie przyznawaj się, z którego jesteś oddziału. Twój pierwszy więzienny posiłek, twoja pierwsza kolacja i sam widzisz, co się stało. Nawet nie dostałeś za wiele do jedzenia, prawda? Następnym razem może być



gorzej. Myślę, że tamten kuchta – wskazał głową w kierunku mężczyzny – podzieli się informacją z innymi.

– Na pewno to zrobi – wtrącił się jeden z więźniów siedzący po przekątnej. – A ty dla własnego bezpieczeństwa czym prędzej wyhoduj sobie oczy z tyłu głowy.

– Jeszcze przez jakiś czas będziesz nosił na twarzy znamię świeżaka – ciągnął Ojczulek, spoglądając na moje sińce i opuchliznę – więc przygotuj się na szykany, kuksańce i nieprzyjemne traktowanie. To miejsce ma niewiele wspólnego ze światem, który znasz. Niebawem się o tym przekonasz. – Ton jego głosu był bardzo spokojny.

Udzielił mi pierwszej lekcji, a ja poczułem się zaskoczony i zawstydzony.

– Dziękuję za radę – odpowiedziałem po chwili. – Nazywam się Stanisław Żabikowski. – Spojrzałem po twarzach mężczyzn i każdemu kiwnąłem nieznacznie głową. – W tamtym świecie, który znam, przyjaciele wołali na mnie „Ropuch”.

Ojczulek uśmiechnął się lekko.

– Ten Ropuch to od nazwiska? – zapytał któryś.

– Tak – odparłem. – Poza tym brzmi zdecydowanie lepiej i bardziej męsko niż żabcia lub kijanka.

Chyba ich rozbawiłem, bo parsknęli śmiechem.

Chciałem jeszcze o coś zapytać, ale w tym samym momencie rozległy się dwa krótkie i ostre gwizdy.

– Ten sygnał oznacza, że blok B kończy posiłek i wracamy do naszych cel – powiedział siedzący z mojej prawej. Wstając, klepnął mnie w ramię. – Mam na imię

Roman. Za drzwiami stołówki nie wolno rozmawiać. Musisz być czujny i ucz się, obserwując innych.

Szliśmy gęsiego po prawej stronie korytarza. Z lewej maszerował kolejny sznur skazańców, którzy zmierzali do stołówki.

Wydawało się, że system pracuje precyzyjnie.

Nikt mi tego nie powiedział i nikt mnie nie ostrzegł, że pierwsza noc w więzieniu jest najgorsza. Zanim zapadnie zmierzch, siedzisz zamknięty w celi, widzisz, jak z każdą minutą gaśnie światło dnia, i czujesz, że skrada się mrok. Prawie go słyszysz. Otula świat, przenika przez twoją skórę, wchodzi w głąb ciebie i wypełnia duszę. Czujesz się porzucony, bezbronny i samotny. Modlisz się w myślach, klepiesz pacierze, składasz przyrzeczenia i obietnice, błagasz o łaskę i nagle zdajesz sobie sprawę, że Bóg cię nie słyszy, bo dawno temu opuścił to miejsce. Zostałeś sam. Pierwszej nocy cela zaczyna cię przerażać. Uświadamiasz sobie, że twój cały świat skurczył się do jej rozmiarów. Być może wszyscy ci, którzy mają przed sobą wyrok kilku miesięcy lub lat, przyjmują to inaczej. Może potrafią sobie powiedzieć – dam radę, wytrzymam, to tylko tymczasowa klatka, to miejsce mnie nie zniszczy, bo pewnego dnia opuszczę mury. A co może sobie pomyśleć skazany na dożywocie? Z takim wyrokiem nie dumasz o przyszłości, nie patrzysz w przód, ale bezustannie oglądasz się za siebie. Liczy się tylko to, co dzieje się dzisiaj, wczoraj, kilka dni temu. Nie snujesz planów, na nic nie czekasz. Wydaje się to cholernie proste i oczywi-

ste, ale zapewniam was, że wcale takie nie jest.

Pierwsza noc może cię zniszczyć. Siedzisz na pryczy i kiedy twoje oczy przywykną do ciemności, widzisz wyraźnie wszystkie cienie malujące się na podrapanych ścianach. Wsłuchujesz się w ciszę, która dzwoni w uszach, i masz wrażenie, że wypełnia cię bezgraniczna pustka. Świadomość własnego istnienia staje się ciężarem, nie potrafisz ogarnąć rozumem tego, co się stało, i przeraża cię myśl o tym, jaki masz przed sobą los. Dotykasz dłonią zimnych ścian i ich chłód jest taki sam jak ten, który zaczyna się rodzić w tobie. Wzdrygasz się na myśl, że niebawem przesiąkniesz nim na wskroś, aż do szpiku kości. Ta myśl najpierw niesie zdziwienie, potem ból, aż wreszcie zamienia się w paraliżujący strach. Padasz na pryczę, podkulone nogi oplatasz uściskiem ramion, każdy mięsień twojego ciała jest napięty do granic możliwości, a wewnątrz drżysz z przerażenia.

Pierwszej nocy we Wronkach otarłem się o szaleństwo.

Kolejne tygodnie były dla mnie nauką nowego życia. Miałem się na baczności i wszystko obserwowałem. Bardzo szybko zrozumiałem, że więzienne życie to przede wszystkim idealnie doszlifowana rutyna. Sztywny cykl zajęć i obowiązków. Po miesiącu zaczynasz odpowiednio reagować na przeróżne bodźce, na gwizdy, na dzwonki, na wykrzykiwane komendy. Po dwóch miesiącach z chaosu wyłania się żelazny szablon i już wiesz, że do każdego sygnału jest przypisana konkretna godzina. Po trzech

miesiącach trudno jest zapanować nad własnymi odruchami, zaczynasz się czuć jak pies Pawłowa i jeśli masz odrobinę oleju w głowie, wszystko staje się jasne. Twoje życie zamienia się w bezbarwny schemat, toczy się od gwizdka do gwizdka. Jesz na sygnał, sikasz na sygnał, srasz na sygnał...

Spędziłem w więzieniu większość życia, więc śmiało mogę o sobie powiedzieć, że jestem ekspertem, prawdziwym znawcą z wieloletnią praktyką. Myślę, że gdyby jakaś instytucja przyznawała tytuły naukowe za odsiadkę, to z marszu dostałbym profesora. Jako niekwestionowany biegły w tej sprawie powiem wam jedno, w pudle najgorszy jest pierwszy rok. Każdy, kto dostał dłuższy wyrok, potwierdzi moje słowa. Możecie się nawet pokusić o sprawdzenie więziennych statystyk, największy odsetek samobójstw przypada w pierwszych dwunastu miesiącach odbywania zasądzonego wyroku.

Więzienne mury i królująca w nich rutyna potrafią złamać każdego. Widziałem to wiele razy. A jeżeli zdobędziesz jeszcze wrogów wśród innych skazanych, albo co gorsza wśród strażników, masz naprawdę przesrane. W tym świecie dobrze jest mieć pomocnych znajomych, życzliwych kumpli albo oddanych przyjaciół. Dobre układy to w więzieniu bardzo cenny nabytek.

Sądzę, że człowiek potrafi się zmienić z dnia na dzień. Bynajmniej tak stało się w moim wypadku. Zanim tutaj trafiłem, byłem pogodnym młodzieńcem, otwartym na ludzi. Czasami miałem wrażenie, że znam połowę mieszkańców Kalisza. Lubiłem rozmawiać, byłem śmiały,

bezpośredni w kontaktach z innymi, szczerzy i ufny. We Wronkach wystarczyło kilka dni, żebym stał się dokładnym przeciwieństwem swojego poprzedniego ja. Zupełnie jakby ktoś rzucił na mnie ponure zaklęcie, stałem się ostrożny, skryty, małomówny i podejrzliwy.

Moje pierwsze miesiące były naprawdę parszywe. Według niepisanego zwyczaju nowo osadzeni zawsze dostają najgorszą robotę, chyba że mają jakiś dar, cudowne umiejętności albo są ulubieńcami Boga, wtedy trafia się im dobra posadka. Ja pierwszego dnia zostałem przydzielony do łodygowni i tym samym stałem się kolejną parą rąk do obdzierania świeżej trzciny i wikliny. Teraz może to kogoś dziwić, ale w tamtych czasach wyroby z tych roślin były bardzo popularne, a Centralne Więzienie w Wronkach – jednym z największych dostawców w kraju. Chłopaki pletli takie cuda, że dnia nie starczyłoby, aby je wszystkie wymienić. Robili kosze i koszyki, fotele, stoły, płoty, wieszaki, krzesła, miotły, kufry, skrzynie, taborety, stojaki, maty ścienne, parawany, strzechy dachowe, ozdoby świąteczne i mnóstwo innych rzeczy, czego dusza lub ciało zapragną. Rynek był chłonny niczym gąbka, więc produkcja szła pełną parą. Mieli gdzieś nasze zakrwawione dłonie. Sześć dni w tygodniu, przez ponad dziesięć godzin dziennie czyściłem łodygi trzciny pospolitej z pochewek liściowych – tak to się fachowo określa – albo przygotowywałem wiklinę do korowania. Żmudna i monotonna praca. Masz do pomocy tylko kawałek drewnianego klocka, a to świństwo z łodyg tnie

skórę jak brzytwa, wdziera się pod paznokcie, rani, kaleczy i kłuje. Po kilku dniach pracy twoje dłonie wyglądają, jakby ktoś potraktował je tłuczkiem do mięsa. Skóra na palcach nie nadaża z gojeniem, nie dosyć na tym, że krwawi, to jeszcze staje się niesamowicie sucha i pęka. Wdzięczność należy się Bogu i temu, kto obok wejścia na łodygownię postawił starą, drewnianą bekę z gęstym, śmierdzącym olejem lnianym. W przerwach i na koniec dniówki można było zanurzyć tam spracowane dłonie lub nasączyć jakiś skrawek szmaty, żeby wieczorem albo nocą ulżyć sobie w bólu. Nikt się nie przejmował zasadami higieny. Olej pomagał, i to było najważniejsze.

Wiele tygodni zajęło mi opracowanie odpowiedniej techniki obchodzenia się z tymi cholernymi witkami.

Każde więzienie oferuje skazanym dwa miejsca towarzyskich spotkań, pierwsze – to stołówka, drugie – spaceriak. Krąg twoich znajomych przeważnie zawęży się do ludzi z tego samego bloku lub oddziału. Instynktownie wyczułem, że warto łączyć się do tych drugich. Na początku nie było łatwo. Rozmawiali ze mną, czasami powiedzieli coś miłego, coś poradzili, ale zachowywali się ostrożnie i trzymali mnie na dystans. Wiele razy widziałem, jak dyskutowali o czymś gorliwie, ale kiedy się zbliżałem, nagle zmieniali temat. Wiem, że tak się działo. A czasami bywało i tak, że kiedy pojawiłem się w pobliżu, słyszałem krótkie:

– Spadaj, Ropuch, pędzisz stąd! No już!

Jedyną osobą, która odstawała od reszty, był Ojczu-

lek.

W więzieniu uczysz się wszystkiego powoli, poznajesz sekrety i obyczaje metodą małych kroczków, czasami musisz zasłużyć sobie na radę czy informację, a przy okazji sam jesteś testowany. To jest miejsce, które zmienia człowieka. Za murami mogłeś być uczciwy i lojalny wobec przyjaciół, mogłeś cieszyć się zaufaniem ludzi, ale tutaj... tutaj to co innego. Albo trzymałeś z ferajną, albo byłeś pupilkiem strażników, którzy uwielbiali wiedzieć, co się dzieje. W zamian mogli zaoferować coś ekstra – więcej żarcia, lepszą pracę, więcej swobody i przede wszystkim ochronę. Tych, którzy wchodzili w ten układ, nazywano „kurwami”. Niestety nikt mi nie powiedział, że użycie słowa „kurwa”, najśrodszego z polskich przekleństw, jest tutaj bardzo niebezpieczne.

Przekonałem się o tym bardzo szybko i w dość bolesny sposób w pewien październikowy dzień 1922 roku. Miałem już za sobą prawie trzy miesiące odsiadki, ale ciągle uczyłem się nowego życia. Jak się później okazało, ta lekcja w pewnym sensie wyszła mi na dobre.

W łodygowni pracowało zawsze około dwudziestu osób, które zbierano ze wszystkich bloków i oddziałów. Oprócz nowych trafiali tutaj najbardziej niepokorni i ci, którzy mieli na pieńku z klawiszami. To była taka wewnętrzna kolonia karna.

Z początkiem października pojawiło się kilku osobników z bloku A. Skoro tutaj trafili, musieli coś przeszkrobać. Byli bardzo pewni siebie i zachowywali się dość nonszalancko, ale nie na tyle, żeby drażnić strażni-

ków. Na jednego z nich, który dominował nad resztą, wołali „Prezes”. Krępy koleś, krótko ostrzyżone włosy i przedziwnie płaski nos, zupełnie jakby zaraz po narodzinach ktoś pomylił jego gębę z tyłkiem i zamiast klapsa w dupsko, przywalił mu z otwartej centralnie w facjatę.

Są tacy ludzie, od których już na kilometr kipi agresją, i właśnie on do takich należał.

Drapieżnik.

Nie mam pojęcia, jak wyglądał jego układ ze strażnikami, ale Prezes nie pracował. Jego kumple tak, ale nie on. Koleś tylko prezesował. Spacerował po łodygowni, przechadzając się tam i z powrotem, czasami do kogoś zagadał, ale najczęściej szturchał, szeptał coś z klawiszami albo znikał gdzieś na długie godziny. Słowem, zachowywał się jak prawdziwy prezes.

Po pewnym czasie upodobał sobie moją skromną osobę. Podchodził, zaczynał o coś wypytywać, a ja grzecznie udzielałem skąpych odpowiedzi. Potem coś mu się przestało w tym wszystkim podobać i zaczął mi dukać. Momentami był nawet boleśnie dotkliwy. Coraz częściej pojawiały się kuksańce i klepnięcia. Strażnicy przyglądali się z półuśmiechem na twarzy i nie reagowali. Pozwalali Prezesowi panoszyć się tutaj jak na swoim terenie. Był niczym zawiadycki kogut pośród bezbronnych kurcząt.

Napięcie pomiędzy nami zaczynało iskrzyć, tylko że to ja siedziałem na beczce prochu, a nie płaskonosy Prezes.

Pewnego dnia zatrzymał się przy moim stanowisku.



– Dzisiaj pracujesz za mnie – syknął mi do ucha w ten słoneczny, październikowy poranek. – Nadeszła twoja kolej, zrozumiano?

Wiedziałem jedno – nie mogę ulec temu człowiekowi, choćby miał się zawalić cały świat. Jeśli się poddam, będzie po mnie, będą mnie niszczyć każdego dnia, będą powoli i skutecznie odbierać mi resztki mojej godności.

– Zrozumiałeś, popaprańcu? – szepnął i końcem języka polizał mi ucho.

Poniosły mnie nerwy. Poderwałem się na równe nogi i patrząc wystraszonym wzrokiem w jego oczy, wyrzuciłem z siebie łamiącym się głosem:

– Ty, kurwa, odwal się ode mnie.

– Co?! – ryknął. W jednej sekundzie jego oblicze przybrało buraczkową barwę, a wszystkie ścięgna i żyły łączące głowę z tarsem wyglądały jak napięte sznury. – Coś ty powiedział?! – Chwycił mnie za poły szarej bluzy i przyciągnął ku sobie. – Hej, chłopaki, słyszeliście to?!

Zrobiło się małe przedstawienie, a ja grałem jedną z głównych ról.

Żaden z cyngli nawet nie kiwnął palcem, większość więźniów obserwowała sytuację, czekając na dalszy rozwój wypadków, a świta Prezesa dołączyła do zabawy.

– Nazwał mnie „kurwą”. Słyszeliście to? – zapytał retorycznie. – Ten śmieć twierdzi, że ja jestem kurwą!

– Nie to miałem na myśli – próbowałem się wybronić słowem.

– Zamknij ryj! – Uderzył mnie otwartą dłonią

*Dalsza część książki dostępna w wersji  
pełnej.*

